

DANIEL DEFOE

ROBINSON

CRUSOE

Daniel Defoe

Robinson Crusoe

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23521138

Robinson Crusoe:

Аннотация

Robinson Crusoe to powieść podróżniczo-przygodowa, najsłynniejsza w dorobku autora, Daniela Defoe. Opowiada ona historię młodego mężczyzny, który ucieka z domu, bo nie chce wieść nudnego żywota, takiego, jakie wie dzie jego ojciec. Trafia na statek i uczy się sztuki żeglarskiej, prowadzi interesy wraz z żoną zmarłego kapitana, dużo podróżuje, aż podczas jednej z wypraw statek zostaje napadnięty, a załoga uwięziona. Crusoe jednak nie zamierza dokonać żywota w mauretańskiej niewoli. Powieść Daniela Defoe zdobyła ogromną popularność – aż do końca XIX wieku, była najczęściej wydawaną i opracowywaną książką w historii. Jej autor był angielskim pisarzem uchodzącym za prekursora powieści nowożytnej, jego twórczość przypada na drugą połowę XVII i pierwszą połowę XVIII wieku. Robinson Crusoe ukazał się po raz pierwszy w 1719 roku.

Содержание

Rozdział pierwszy	4
Rozdział drugi	17
Rozdział trzeci	31
Rozdział czwarty	44
Конец ознакомительного фрагмента.	50

Daniel Defoe

Robinson Crusoe

Rozdział pierwszy

- Skłonność podróżnicza Robinsona. – Zostań w kraju i odżywiaj się należycie. – Nieposłuszeństwo i skrucha Robinsona. – Jego lekkomyślność. – Burza i rozbicie okrętu.
- Robinson zostaje właścicielem plantacji.

Urodziłem się roku Pańskiego 1632, w angielskim mieście Jorku. Mimo to mógłbym się niemal zwać Niemcem, albowiem ojciec mój pochodził z Bremy i w późnym dopiero wieku osiadł w Anglii.

Matka moja, Angielka, nosiła rodowe nazwisko Robinson, ja zaś, obyczajem angielskim, otrzymałem je przy chrzcie św. za imię. Ojciec mój zwał się Kreutzner, przeto i ja byłem właściwie Robinsonem Kreutznerem, ale Anglicy, nie mogąc nigdy wymówić tego wyrazu niemieckiego, zwali mego ojca: Mister Crusoe, tak że w końcu cała rodzina przybrała to nazwisko.

W ten sposób zostałem ostatecznie Robinsonem Crusoe.

Rodzice moi mieli oprócz mnie jeszcze dwóch synów i jedną córkę. Najstarszy służył jako oficer w jednym z angielskich pułków i zginął pod Dunkierką w bitwie z Hiszpanami. Młodszy

brat mój wyruszył na obczyznę i przepadł bez wieści.

Mnie, najmłodszego, rodzice starali się jak najdłużej zatrzymać w domu. Ojciec mój był kupcem, ale na starość wycofał się z interesów, a chcąc ze mnie zrobić uczonego, dał mi wykształcenie, jakie tylko osiągnąć było można w naszym mieście. Jednakże nauka nie nęciła mnie wcale. Przeciwnie, rad bym był ruszyć w szeroki świat, napatrzeć się ludziom i krajom oraz zaznać wszelakich przygód.

Te moje plany i marzenia sprawiały dużo przykrości ojcu. Był to człek mądry i rozważny, i wiedział lepiej niż ja sam, co dla mnie najlepsze.

Pewnego dnia wezwał mnie do siebie i rzekł łagodnie i życzliwie:

„Drogi synu, skądże ci się biorą te myśli i dążenia awanturnicze? Czyż mam i ciebie utracić, jak utraciłem braci twoich? Zostań w domu, gdzie ja i matka troszczymy się o ciebie, gdzie masz przyjaciół i znajomych, gotowych do wszelkiej pomocy, którzy cię poprą niezawodnie, gdy raz już obierzesz jakiś zawód, ku własnej korzyści i zaszczytowi oraz ku pożytkowi społeczeństwa i pociesze rodziny. Szczęścia na obczyźnie szukają ci tylko, którzy niczego nie spodziewają się w ojczyźnie albo stracili dobrą opinię u ludzi. Przyznaję, że czasem przedsiębiorczość ducha wygania w szeroki świat młodzieńca, któremu na zagonie rodzinnym za ciasno, i młodzieniec taki ziszcza nieraz ambitne plany swoje. Ale to rzeczy nie dla ciebie, mój synu. Przeznaczeniem twym jest pozostać na szerokim

gościńcu życia, który najpewniej wie gdzie do szczęścia. Pozostań tedy w kraju i odżywiaj się należycie. Jeśli już nie zostaniesz uczonym, to masz dosyć zdolności, aby być dobrym kupcem, bo chyba nie uznajesz stanu ojca, stanu kupieckiego, za zbyt niski dla siebie”.

Tymi i innymi jeszcze słowy przemawiał do mnie ojciec, ja zaś nabrałem przekonania, że ma słuszość i postanowiłem usłuchać go. Ale po kilku już dniach wrażenie nauk ojca pierzchło i jałem na nowo snuć marzenia unoszące mnie daleko za lądy i morza, ku tajemniczym i nęcącym dalom świata.

Skorzystawszy z wyjątkowo serdecznej chwili, podczas rozmowy z matką, powiedziałem jej, że nie mogę w żaden sposób opędzić się myśli wyruszenia na morze, że zakaz ojca uczynił mnie nieszczęśliwym, a pokusa może nawet sprawić, że wyjadę bez jego zezwolenia. Dodałem, że mając lat osiemnaście za stary już jestem, by wstąpić do praktyki kupieckiej, że zaś uczonym nie zostanę, przeto najlepiej będzie jeśli powolny swej skłonności ruszę w drogę. Prosiłem matkę, by mi wyrobiła u ojca zezwolenie na małą próbną podróż. Jeśli pierwsza wyprawa na morze nie ziści moich nadziei, to zrezygnuję z dalszych, wrócę do domu i zdwojoną pilnością nagrodzę czas stracony.

Ale matka zapatrywała się na sprawę tak samo jak ojciec i z całą powagą odmówiła swego wstawiennictwa. Mimo to powtórzyła potem ojcu me słowa, ja zaś usłyszałem, jak odrzekł wzdychając ciężko:

„Nieszczęsny to chłopiec! Mógłby być tak szczęśliwy, zostając

z nami. Gdy ruszy w podróż, zostanie najnędniejszym pod słońcem stworzeniem... Nie, za nic na to nie zezwolę!”

Minął znowu rok. Ojciec i matka nalegali, bym obrał jakiś określony zawód, ja jednak głuchy byłem na ich serdeczne napomnienia i wreszcie zawrzałem gniewem z powodu tego oporu przeciw mojej woli.

Pewnego dnia podjąłem małą wycieczkę do miasta portowego Hull, odległego parę tylko mil od Jorku. Tu spacerowałem po przystani, tęsknie spoglądając na rozliczne małe i wielkie okręty przybyłe z obcych krajów lub sposobiące się do odjazdu w świat daleki. Wszędzie powiewały flagi różnobarwne, a ogorzali marynarze pracowali, śpiewając.

– Ach! – westchnąłem. – Czemuż ja tego samego uczynić nie mogę! Ach, czemuż mi nie wolno ruszyć w radosny, słoneczny świat!

Nagle czyjaś dłoń spoczęła mi na ramieniu, a obejrzawszy się ujrzałem kolegę szkolnego tuż przy sobie. Pozdrowił mnie serdecznie, spytał, co robię w Hull i powiedział, że okręt jego ojca stoi tu na kotwicy, nazajutrz zaś rusza do Londynu. Znając jeszcze ze szkoły me skłonności marynarskie zaproponował, bym siadł na ich okręt i wraz z nim odbył tę podróż, która nic mnie kosztować nie będzie.

Pokusie tej oprzeć się nie byłem w stanie.

Nie myśląc o rodzicach, nie zawiadamiając ich nawet o zamiarze, nie bacząc zgoła na skutki tego nierozsądnego, lekkomyślnego i buntowniczego postępuku, wsiadłem dnia 1

września na odpływający do Londynu okręt.

Zaprawdę, nigdy chyba wcześniej nie zaczęła się niedola młodego awanturnika i nie trwała dłużej od mojej.

Zaledwie okręt wypłynął z rzeki Humbera i znalazł się na pełnym morzu, zaczął dąć gwałtowny wicher, wzburzający morze do głębi. Niebawem zapadłem ciężko na morską chorobę, a jednocześnie ogarnął mnie wielki strach.

Poznałem teraz całą szkaradę mego postępuku i powiedziałem sobie, że opuszczając potajemnie i niewdzięcznie rodziców, w pełni zasługuję na najcięższą karę nieba. Wspomniałem wszystkie ich prośby i napomnienia, a wyrzuty sumienia dręczyły mnie na równi z chorobą.

Ile razy nadpływała zielona, pienista fala, sądziłem, że pochłonie okręt, a ilekroć zjeżdżaliśmy z grzbietu bałwana w głąb, pewny byłem śmierci w tej otchłani. Byłem nowicjuszem i nie miałem wyobrażenia o tym wszystkim.

Targany rozpaczą uczyniłem ślub, że nie dotknę już stopą pokładu, jeśli Bóg pozwoli mi dostać się szczęśliwie na ląd stały, że wrócę co prędzej do ojca i uczynię wszystko, co rozkaże. Teraz poznałem, że szeroki gościniec życia, którym zawsze kroczył, to droga najlepsza, najpewniejsza. O ile mogłem zapamiętać, ojciec wiódł zawsze żywot wygodny, miły i nie był nigdy narażony na burze. Dostawszy się na ląd, powrócę, myślałem, niezwłocznie do domu niby syn marnotrawny, o którym wspomina Biblia.

Te rozsądne myśli trwały jednakże tylko tak długo, jak długo

huczała burza. Dnia następnego wróciła pogoda, wiatr ustał, a wieczór nastał cichy i piękny. Morze lśniło, żagle ledwo wzdymał lekki wiatr, a zachód słońca był tak cudny, że nigdy chyba nie widziałem podobnego.

– Jak się czujesz, Robinsonie? – spytał mnie kolega szkolny widząc, że wychodzę na pokład. – Już ci lepiej... nieprawdaż? Pewnie bałeś się trochę, gdyśmy tej nocy mieli pełno wiatru w czapce?

– Wiatru w czapce? – zdziwiłem się. – Co mówisz? Wszak to był straszliwy orkan!

– Orkan? Ha... ha... mój drogi, orkan wygląda całkiem inaczej. Mając dobry statek pod nogami i należytą przestrzeń w koło siebie, nic sobie nie robimy z takiego wietrzyku. Zaraz widać, że jesteś szczurem lądowym. Chodźże, łykniemy sobie po jednym, a zaraz o wszystkim zapomnisz.

Usłuchałem go i w istocie niebawem zapomniałem przy szklance nie tylko o przebytych przygodach, ale także o wszystkich dobrych postanowieniach.

Przez następnych pięć dni panowała pogoda, a życie na pokładzie podobało mi się niezmiernie. Ale Opatrzność miała dla mnie jedną jeszcze próbę i to tak straszliwą, że najbardziej zatwardziały zbrodniarz nie mógłby lekceważyć jej doniosłości oraz cudowności ocalenia z pewnej już zatury.

Szóstego dnia podróży stanęliśmy na kotwicy w przystani Yarmouth. Od czasu owej burzy wiatr był za słaby lub też przeciwny, a i teraz wiał od tygodnia z południowego zachodu,

tak że nie dało się wpłynąć w koryto Tamizy. W przystani zebrało się dużo jeszcze innych statków, a wszystkie czekały na wiatr pomyślny, by dotrzeć do Londynu.

Po kilku dniach powiało istotnie raźniej, a potem nawet silnie. Ale przystań w Yarmouth miała sławę bezpieczeństwa, a nasza lina kotwiczna była nowa, przeto załoga nie zwracała uwagi na pomyślny wiatr i spędzała czas na próżnowaniu i wesołej zabawie, gdyż w czasie takiego stanu pogody ustaje zazwyczaj praca na okręcie.

Ósmego jednak dnia wicher wzrósł tak dalece w siłę, że zwołano całą załogę, by zdjąć na pokład sztangi, jak zwą się przedłużenia dolne masztów, w celu zmniejszenia kołysania statku. Około południa fala była taka, że okręt zapadał rufą głęboko, a ogromne masy wody przelewały się po pokładzie. Kapitana ogarnął niepokój, czy aby skutkiem tego nie pęknie lina kotwiczna, kazał więc spuścić drugą kotwicę.

Burza rosła z każdą chwilą, a ja spostrzegłem strach i niepokój na twarzach załogi. Kapitan nie mógł usiedzieć w kajucie, biegał tu i tam z największą starannością, czyniąc wszystko, co mogło ocalić statek, ale miał słabą bardzo nadzieję.

– Niech nas Bóg chroni! – mruknął, przebiegając koło mojej kabiny. – Jesteśmy zgubieni!

Ległem cicho na posłaniu. Nie sposób opisać, co się ze mną działo. Sądziłem, że przetrwał co najgorsze, a tu słowa kapitana przejęły mnie strachem śmiertelnym. Po chwili wyszedłem na pokład i rozejrzałem się. Boże wielki, cóż za widok uderzył

me oczy! Bałwany wielkości ogromnych gór toczyły się ze wszystkich stron, a co kilka minut jeden z nich walił z hukiem gromu na nasz pokład. W chwilach, kiedy mogłem dostrzec coś poprzez rozpryskującą się wodę, widziałem nieopisane zniszczenie. Mnóstwo okrętów miało teraz odrąbane maszty, niektóre zerwały się z kotwic i pędziły bez ratunku w stronę pełnego morza, zaś ze słów naszej załogi wywnioskowałem, że stojący tuż obok nas statek zatonął z całą załogą i ładunkiem.

Wieczorem przyszli do kapitana sternik i pilot i poprosili o pozwolenie ścięcia masztu przedniego. Nie chciał on się zrazu zgodzić, ale uległ w końcu przedstawieniom pilota. Odrąbano maszt przedni, ale przez to został tak dalece osłabiony maszt główny, że go także odrąbać musiano.

Trudno opisać stan nasz. Mimo że upłynęło od dnia tego lat wiele, pamiętam, iż myśl o sprzeniewierzeniu się mym dobrym postanowieniom dręczyła mnie wówczas więcej, niż obawa śmierci.

Nie przypuszczałem, by burza miała wzrosnąć jeszcze, a jednak tak się stało. Czegoś podobnego nie pamiętali najstarsi marynarze naszej załogi.

Okręt nasz był doskonale i silnie zbudowany, ale ładunek jego, nader ciężki, budził obawę, że możemy lada chwila zatonać. Kapitan i pilot, oraz kilku maszynistów uczynili teraz coś, co się rzadko zdarza na statku, mianowicie, zaczęli gorąco błagać Boga o ocalenie.

Okolo północy rozeszła się wieść, że statek ma dziurę i pod

pokładem woda dosięga czterech stóp. Wszyscy ruszyli do pomp, a ja doznałem takiego wstrząsu, że padłem na postanie w pół omdlały. Ale przywrócono mi rychło przytomność, mówiąc, że dotąd mogłem nie brać się do żadnej roboty, teraz jednakże muszę pompować jak każdy, co pewnie potrafię. Poszedłem tedy na pokład i jałem pompować co sił. Podczas tej pracy kazał kapitan dać strzał armatni. Był to sygnał ostrzegawczy dla kilku okrętów węglowych, które przeciąwszy liny kotwiczne starały się dostać na pełne morze i nie dość szybko robiły nam miejsce wolne. Nie wiedząc co to znaczy, pomyślałem po strzale, że się naszemu statkowi przydarzyło coś strasznego. Przeniknął mnie lodowaty dreszcz i padłem bez zmysłów. Marynarze nie zwrócili na mnie uwagi, ktoś inny zajął moje miejsce, a sądząc, że umarłem, odsunął mnie nogą na bok. Po długim dopiero czasie odzyskałem przytomność.

Mimo pompowania woda podnosiła się coraz wyżej. Burza zelżała co prawda trochę, ale jasne było już, że okręt nie utrzyma się długo na powierzchni. Kapitan kazał dawać strzały, skutkiem czego stojący opodal na kotwicy statek wysłał nam łódź ratunkową. Dzielna jej załoga położyła na szali życie, by dotrzeć do nas po wzburzonych falach, ponieważ się jednak okazało niemożliwe przybicie do boku okrętu, rzuciliśmy z wielkim trudem linę i przyciągnęliśmy łódź pod rufę, czyli tylną część statku. Potem z wielkim niebezpieczeństwem spuściliśmy się na dół. Trudno było nawet myśleć o przepłynięciu na statek przy takim stanie morza, przeto postanowiono wpędzić łódź na

mieliznę. Kapitan przyobiecał załodze pełne odszkodowanie na wypadek, gdyby łódź odniosła jakieś uszkodzenie.

W kwadrans zaledwie po wejściu do łodzi ujrzelśmy, jak nasz piękny okręt idzie na dno.

Zbliżaliśmy się z wolna do lądu i niebawem ujrzelśmy na wybrzeżu mnóstwo biegających żywo ludzi, którzy usiłowali przyjść nam z pomocą. Znalazła się jednakże osłonięta od wiatru zatoka ułatwiająca wylądowanie i niebawem stopy nasze dotknęły stałego lądu. Ruszyliśmy do Yarmouth i jako biedni rozbitkowie doznaliśmy ze strony władz i ludności jak najżyczliwszego przyjęcia. Dano nam dobre kwatery i nawet zaopatrzone w pieniądze na drogę do Hull lub Londynu.

Cała moja niedola skończyłaby się, gdybym miał rozum i wrócił do Hull, a stamtąd do domu. Ale los mój gnał mnie coraz to dalej, tak żem się nie mógł oprzeć.

Kolega szkolny, syn właściciela okrętu, który mnie skusił do podróży, miał teraz gorszą jeszcze ode mnie minę. Przez dwa dni pobytu w Yarmouth nie widziałem go, gdyż zakwaterowano nas w innych domach, gdyśmy się jednak spotkali, spojrział na mnie smętnie. Opowiedział swemu ojcu, kim właściwie jestem i wyznał, że tę podróż podjąłem tylko na próbę.

„Młodzieńcze! – powiedział do mnie z wielką powagą właściciel okrętu. – Powinieneś to, co zaszło, uznać za ostrzeżenie oraz wyraźny znak Opatrzności i wyrzec się na zawsze zawodu żeglarskiego, do czego nie jesteś stworzony”.

„Panie! – spytałem – czyż ta katastrofa skłoni pana do

zaprzestania morskich podróży?”

„Ze mną inna sprawa! – powiedział. – Żeglarsstwo jest mym zawodem, a więc także obowiązkiem. Ty jednak, młodzieńcze, podjąłeś jazdę próbną i doznałeś przedsmaku tego, co cię czeka w przyszłości, gdybyś trwał dalej w uporze. Może być nawet, że całe nieszczęście wywołała twa obecność na pokładzie! Któż jesteś, młodzieńcze, i co cię skierowało na morze?”

Opowiedziałem cały przebieg sprawy.

„Czymże zgrzeszyłem, że mnie Bóg pokarał takim intruzem, takim nieszczęśnikiem na okręcie! – zawołał wysłuchawszy mnie. – Za tysiąc funtów szterlingów nie zgodziłbym się nawet stanąć z tobą, młodzieńcze, na jednym pokładzie!”

Po chwili jednak uspokoił się i zalecił mi, bym wracał do ojca, gdyż najwidoczniej moje skłonności żeglarskie nie podobają się niebu.

„Bądź pewny, młodzieńcze – zakończył – że jeśli nie weźmiesz sobie do serca tego znaku Opatrzności, to, gdziekolwiek się zwrócisz, natrafisz na nieszczęście i rozczarowanie, jak ci to przepowiedział ojciec twój!”

Rozstaliśmy się i już go więcej nie spotkałem. Ale rady, jakich mi udzielił, były daremne.

Mając trochę pieniędzy, pojechałem drogą lądową do Londynu, a przez cały czas wahałem się, czy nie lepiej byłoby wracać do domu.

Uczyniłbym to był jak najchętniej, ale było mi wstyd, zarówno sąsiadów i znajomych, jak też ojca i matki. Tak to bywa z

nie rozsądnymi. Nie wstydzą się robić źle, a odtrąca ich skrucha, nie mają odwagi zawrócić z błędnej drogi i wyznać swego przewinienia.

Przybywszy do Londynu wyszukałem sobie niebawem okręt, który odpływał ku wybrzeżom Gwinei w Afryce.

Gdybym miał tyle bodaj rozsądku, by przyjąć miejsce prostego marynarza, to pracując usilnie wyuczyłbym się był przynajmniej doskonale zawodu żeglarskiego i doszedł kiedyś do stanowiska sternika albo nawet i kapitana. Ale czując grosz w kieszeni, trwałem dalej w uporze i, grając rolę pana nie tykającego żadnej roboty na pokładzie, nie nauczyłem się też niczego.

Posiadałem wówczas czterdzieści funtów szterlingów, które mi przysłali krewni, uproszeni listem wysłanym z Londynu. Pewny jestem jednak, że większą część tej sumy dostarczyła matka moja.

Idąc za radą właściciela okrętu, człowieka bardzo zacnego, nabyłem za te pieniądze różnych drobiazgów, używanych w handlu zamiennym z murzynami, i notuję tu zaraz, że podróż miała przebieg pomyślny oraz że wróciłem do Londynu z zyskiem trzystu funtów szterlingów w postaci złotego proszku.

Zostałem tedy handlarzem gwinejskim i uprawiałem to przez lat kilka z coraz większym powodzeniem, gdy mnie zaś losy zapędziły do Brazylii, kupiłem tam tanio piękną plantację. Dość długo ciągnąłem z niej niezłe zyski, aż razu pewnego uległem namowie drugiego plantatora i przysposobiłem sobie okręt w

celu sprowadzenia z Afryki niewolników potrzebnych nam do roboty na naszych polach trzciny cukrowej.

Rozdział drugi

– Robinson jedzie kupować niewolników i rozbija się po raz drugi z okrętem. Cudowne ocalenie. – Pierwsza noc na nieznanym wybrzeżu. – Robinson dosięga wpływ okrętu i buduje tratwę. – Nabiera pewności, że znajduje się na wyspie. – Magazyn zapasów Robinsona.

Dnia pierwszego września roku Pańskiego 1659 wstąpiłem na pokład okrętu, w ósmą rocznicę dnia, w którym opuściłem w Hull ojca i matkę i lekkomyślnie ruszył na oślep w szeroki świat.

Okręt nasz miał sto dwadzieścia ton pojemności, posiadał sześć armat i liczył prócz kapitana, mnie i chłopca kajutowego, czternastu ludzi załogi. Ładunek nasz stanowiły paciorki szklane, muszle, zwierciadełka ręczne, noże, nożyczki, siekiery i inne podobne przedmioty bardzo popłatne w handlu z murzynami.

Żeglowaliśmy ku północy wzdłuż wybrzeży Brazylii, potem zaś, osiągnąwszy dziesiąty stopień północnej szerokości, mieliśmy skierować się wprost ku Afryce. Pogoda była piękna, ale upał panował wielki. Dotarłszy do przyłądku San Augustino, skierowaliśmy okręt na pełne morze i ląd znikł nam niebawem z oczu. Po dwunastu dniach minęliśmy równik i znaleźliśmy się mniej więcej na siódmym stopniu szerokości północnej, gdy powiało straszliwe tornado, czyli trąba powietrzna i odrzuciło nas daleko z drogi obranej.

Burza nadciągnęła zrazu od południowego wschodu, potem runął wicher od północnego zachodu. Potęgą trąby powietrznej była taka, że zrezygnowawszy z wysiłków żeglowania, daliśmy się wichrom pędzić bezwolnie. Trwało to przez wiele dni, każdego zaś ranka sądziliśmy, że nie doczekamy wieczoru. Fale splekały z pokładu dwu marynarzy i chłopca kajutowego, którzy zatonęli.

Dwunastego dnia burza nieco zmalęła, a kapitan stwierdził za pomocą obserwacji słońca, że jesteśmy mniej więcej na jedenastym stopniu północnej szerokości, a więc na wysokości Gujany, powyżej Amazonki, niedaleko ujścia rzeki Orinoko. Zaczęliśmy radzić, co należy czynić, gdyż okręt poniósł uszkodzenia. Kapitan sądził, że najlepiej wrócić do Brazylii.

Nie zgodziłem się na to i zaproponowałem jazdę do wysp Barbados, do których spodziewaliśmy się dotrzeć w ciągu dni piętnastu.

Zmieniwszy tedy kierunek pożeglowaliśmy w stronę północno-zachodnią, by znaleźć pomoc na jednej z wysp Indii zachodnich. Ale los inaczej zrządził.

Ledwośmy przebyli kawałek drogi w tym kierunku, zahuczała ponownie burza i poniosła nas tak daleko na zachód, że mniej baliśmy się teraz zatonięcia na pełnym morzu, niż rozbicia o nieznane wybrzeże i zjedzenia przez ludożerców.

Wśród tej niedoli rozległo się pewnego ranka wołanie: Łąd! Wybiegliśmy na pokład, by zobaczyć, gdzie jesteśmy, jednocześnie jednakże okręt doznał takiego wstrząśnienia, że zatrzeszczał w więzaniach. Wpadliśmy na ławę piaszczystą,

statek nasz stanął nagle, a bałwany przeleciały po pokładzie z taką mocą, że ledwośmy ująć zdołali przed zatonięciem.

Nie sposób opisać przerażenia załogi. Nie wiedzieliśmy, czy jesteśmy przy wyspie, czy stałym lądzie, natomiast nie ulegało wątpliwości, że jeśli burza nie ustanie rychło, okręt nasz rozpadnie się na kawałki. Wciśnięci w różne kąty dla ochrony przed falami, spoglądaliśmy na siebie bladzi, czekając godziny śmierci.

Jednakowoż okręt wytrzymał dłużej, niż to było do przewidzenia i kapitan stwierdził na koniec, że wiatr przycicha.

Nie mogąc statku uwolnić z mielizny, chcieliśmy uratować przynajmniej samych siebie. Łódź wisząca u rufy została dawno już roztrzaskana, mieliśmy jednakże drugą, większą, i tę właśnie udało się, po wielu trudach, szczęśliwie spuścić na wodę.

Nie biorąc ze sobą niczego, weszliśmy jakeśmy stali w wąły stateczek, któremu lada chwila groziło rozbicie o ściany okrętu. Po nadludzkich wprost wysiłkach zdołaliśmy odbić od statku, i wśród ustawicznego niebezpieczeństwa popłynęliśmy w jedenastu, zdając się na wolę fal i łaskę bożą.

Położenie było straszne, wiedzieliśmy bowiem, że wśród takiej burzy otwarta barka nie utrzyma się długo na powierzchni, a gdybyśmy nawet zdołali dotrzeć do lądu, to niezawodnie łódź nasza roztrzaska się o skały nadbrzeżne, tak że w jednym i drugim wypadku śmierć nam zagraża niechybna. Mimo wszystko, polecivszy dusze Bogu, wiosłowaliśmy dzielnie w stronę wybrzeża.

Jedyną naszą nadzieją było, że może znajdziemy zatokę osłoniętą od wiatru lub ujście rzeki i po spokojniejszych wodach dotrzemy do lądu.

Zaledwie jednak upłynęliśmy półtorej mili morskiej, wzniosła się poza nami ogromna jak góra ściana wody i zaczęła nas ścigać. Uciekaliśmy niby jagnię przed lwem, ale potwór dosięgnął nas i nim zdołaliśmy zebrać zmysły, łódź została przewrócona, a ja uczułem, że zapadam w niezmierną głębię.

Byłem wyśmianym pływakiem, ale cóż mi to mogło pomóc w tym razie. Wir porwał mnie na dół, potem zgoła bez wysiłku z mej strony pchnął ku lądowi. Fala odpłynęła, ja zaś zostałem na piasku. Na poły oszalały posiadałem jednak jeszcze tyle przytomności, żem zauważył, iż ląd był bliższy, niż sądziłem. Zerwawszy się na nogi zacząłem co sił pędzić w głąb lądu, by mnie nie zabrała powracająca fala. Daremnie! Nieprzyjacieli szybszy był nierównie ode mnie. Ujrzałem za sobą nową górę, która dopędziła bezbronnego i zatopiła na jakieś dwadzieścia stóp wysokim słupem wody. Nieodporna moc pociągnęła mnie szybko w przepaść i już zacząłem tracić zmysły, wiedząc tylko tyle, że umieram, gdy nagle uczułem, iż idę w górę, a za chwilę głowa moja i ręce wynurzyły się z wody. Odetchnąłem głęboko i nabrałem trochę otuchy. Nowy bałwan zaniósł mnie na ląd, uczułem ponownie ziemię pod nogami, znowu jak przedtem zacząłem uciekać i znowu przegoniła mnie fala, zagarniając ze sobą. Wychyliwszy się na powierzchnię spostrzegłem, że mnie prąd niesie z szaloną szybkością ku zębatej skale, sterczącej

czarno spośród śnieżnobiałej piany. Pomyślałem jeszcze, że tu będzie mój grób, westchnąłem do Boga... potem zaś otrzymałem straszliwy cios, tak że straciłem przytomność.

Przyszedłszy do siebie zauważyłem, że leżę wysoko na skale. Fale cofnęły się daleko, ale zaczęły właśnie sposobić nowy napad. Znając już ich gwałtowność i chyżość, chwyciłem z całej siły oburącz cypel skalny, by nie zostać splukany. Nastąpił zalew, pokryła mnie zielonawa grzywa, ale trzymając się rozpaczliwie, zdołałem ująć zagłady. W chwili, gdym mógł chwycić oddech, zląłem śpiesznie na dół i zacząłem biec jak szalony w głąb wybrzeża wznoszącego się dość stromo tuż za skałą. Dotarłszy tam, gdzie nie sięgało już morze, usiadłem w trawie.

Zostałem ocalony i złożyłem z całego serca gorącą podziękę Bogu. Pomyślałem o towarzyszach moich, którzy potonęli zapewne, gdyż nie dostrzegłem już nigdy ich śladu, z wyjątkiem trzech kapeluszy znalezionych potem na brzegu i dwu trzewików z dwu różnych par.

Daleko, pośród spienionego morza, widniał rozbity okręt, ale był tak odległy, że ledwo go dostrzec mogłem przez białawą mgłę wodną. Wielki Boże! Jakimże sposobem zdołałem przez taką przestrzeń dostać się na ląd?

Radowało mnie niezmiernie ocalenie, ale byłem w strasznym położeniu. Przemoczony na wskroś, nie miałem innej odzieży, ani jedzenia, ani picia, ani też broni, która by mi pozwoliła ubić zwierzynę na posiłek, czy obronić się przed napastnikiem. Znalazłem w kieszeni nóż, fajkę i trochę mokrego tytoniu.

Ta bezsilność przepoiła mnie taką rozpaczą, że się zerwałem i zacząłem biegać po brzegu jak szalony.

Nadchodziła noc, ja zaś jałem rozmyślać, co będzie, jeśli znajdują się tu drapieżne zwierzęta, wychodzące nocą na łów.

Nie mając wyboru, wdrapałem się na grube drzewo, stojące w pobliżu, by obyczajem ptaków przenocować pośród gałęzi. Przedtem jeszcze wyciąłem grubą pałkę dla obrony, usadowiłem się, jak mogłem najwygodniej i zmęczony straszliwie zapadłem zaraz w głęboki sen.

Gdy się zbudziłem, dzień był już jasny, burza przycichła i morze odzyskało nieco spokoju. Spostrzegłem z wielkim zdumieniem, że przyływ podniósł okręt z ławicy i podczas nocy zapędził go w poblizsze skały, której zawdzięczałem swoje ocalenie. Okręt stał prosto i spokojnie, mnie zaś ogarnęło pragnienie dotarcia doń, celem zabrania potrzebnych mi nieodzownie przedmiotów.

Zlazłem co prędzej z drzewa i zaraz spostrzegłem leżącą opodal na brzegu łódź. Pośpieszyłem ku niej, ale zastąpiła mi drogę woda tak szeroko rozlana, że nie mogłem przekroczyć tej przeszkody. Wróciłem tedy i zacząłem rozmyślać, w jaki sposób mogłbym się dostać na okręt.

Okolo południa morze przybrało zupełnie spokojny wygląd i z powodu odpływu odsłoniło tak znaczny szmat lądu, że mogłem dotrzeć pieszo do okrętu na odległość ćwierć mili angielskiej.

Przejął mnie ból, przyszło mi bowiem na myśl, że zostając na pokładzie, wszyscy towarzysze moi ocaleliby, a los mój w ich

gronie byłyby całkiem inny. Rozważania te jednak były daremne, przeto niewiele myśląc zrzuciłem odzież i popłynąłem do okrętu. Ściany jego były gładkie i sterczały pionowo z wody, tak że zrazu straciłem nadzieję dostania się na pokład. Po chwili jednak dostrzegłem zwisający z burty kawałek liny. Chwyciwszy go, wygramoliłem się na okręt.

Tkwiał on w ławicy piasku w ten sposób, że dziób jego był pod wodą, a cała część tylna sterczała w górę. Tej nader szczęśliwej okoliczności zawdzięczać należało, że komory magazynowe pozostały suche. Wślizgnąłem się tam i, czując głód, napełniłem kieszenie spodni odłamkami suchara i pochłaniałem je, prowadząc dalej poszukiwania. Brakło mi teraz tylko czółna, by przewieść na ląd przedmioty, które sobie postanowiłem przywłaszczyć.

Sama chęć nie mogła tutaj starczyć, przeto musiałem jąć się pracy. Na pokładzie było kilka zapasowych rei i sztang, które mi się nadały, uruchomiłem je tedy i z wielkim wysiłkiem spuściłem poza pokład, związawszy linami, by nie odpłynęły z falą. Potem zszedłem na dół, związałem jedne przy drugiej, tak że utworzyły tratwę, potem nakryłem je deskami w poprzek i mogłem już po całej powierzchni swobodnie chodzić. Ale tratwa była jeszcze zbyt lekka, by unieść większy ładunek, poprzecinałem tedy piłą ciesielską na trzy części leżące na pokładzie długie belki masztowe i po niesłychanych wysiłkach uzupełniłem nimi mą tratwę. Nigdy przedtem nie byłbym zdolny wykonać takiej niesłychanej pracy, ale w niedoli człowiek

poznaje własne siły i uczy się z nich korzystać.

Tratwa była teraz dość silna, zacząłem tedy ładowanie. Nasamprzód umieściłem na niej trzy skrzynie marynarskie, wysypawszy ich zawartość. W jedną z nich włożyłem suchary, ryż, trzy wielkie sery holenderskie, pięć kawałów suszonej koziny i resztkę mieszanki różnego ziarna, którym na pokładzie karmiono kury. Była to przeważnie pszenica i ryż, ale potem zauważyłem z wielkim rozczarowaniem, że dobrały się do tego szczury i część zjadły, a część zniszczyły. Zajęty tą pracą, spostrzegłem jednak, że nastąpił przyptyw, a pozostawione na brzegu surdut, kamizelkę i koszulę zabrała woda. Zacząłem tedy szukać odzieży i znalazłem sporą jej ilość. Brałem jednak na razie tylko najpotrzebniejsze rzeczy, głównie zaś narzędzia, które postanowiłem zawieźć na ląd. Po długim szukaniu odnalazłem skrzynię cieśli pełną narzędzi. Był to dla mnie skarb większy, niż gdybym odkrył ładunek złota wypełniający cały okręt.

Następnie zwróciłem uwagę na broń i amunicję. Wiedziałem, że są w kajucie dwie dobre strzelby na ptactwo i dwa pistolety. Zabezpieczyłem je tedy przede wszystkim, wraz z kilku pełnymi prochu rogami, workiem śrutu i kul oraz dwoma długimi, ostrymi szpadami. Wiedziałem również, że są na okręcie trzy beczki prochu. Po długich poszukiwaniach znalazłem je w głębi, dwie były suche, trzecia jednakże przemokła. Umieściwszy na tratwie te dwie beczki oraz broń, uznałem, że ładunek jest dostateczny. Zaraz jednak stanęło przede mną pytanie, w jaki sposób zdołam dotrzeć z tym wszystkim do lądu, nie posiadając

wioseł ni żagła, wobec czego najłżejszy podmuch wiatru mógł te moje skarby wypędzić na pełne morze i zatopić.

Trzy okoliczności dodawały mi jednak otuchy. Morze było gładkie jak zwierciadło, nastał właśnie przyptyw, pędzący wodę ku ładowi, a po trzecie miałem wiatr z tyłu. Znalazłem jeszcze na pokładzie kilka krótkich, połamanych żerdzi, dodawszy więc jeszcze do ładunku dwie piły, siekiery i młot, ruszyłem odważnie w drogę. Wszystko poszło wyśmienicie, zauważyłem też, że prąd niesie mnie tuż obok miejsca, gdzie po raz pierwszy wylądowałem. To mi dało nadzieję, że odkryję ujście strumienia lub rzeki, w które wdziera się fala morska podczas przyptywu i w ten sposób natrafię na przystań.

Nie omyliłem się. Po krótkiej chwili zobaczyłem rozpadlinę wybrzeża, w którą wpadała szybkim prądem woda morska. Starłem się też, ile mogłem, utrzymać tratwę na środku tego pasa.

Teraz jednak omal nie zdarzyło mi się ponowne rozbicie, które by do reszty pograżyło całą mą nadzieję i złamało mi serce. Nie znałem głębokości wody, toteż tratwa wpadła jedną stroną na ławicę piasku, druga zaś zanurzyła się w wodę. Cały mój drogocenny ładunek byłby się zesunął, gdybym nie podparł skrzyni z całej siły plecami.

W takiej pozycji stałem przeszło pół godziny, aż woda się podniosła i oswobodziła tratwę. Ruszyłem dalej i ku wielkiej radości ujrzałem ujście niewielkiej rzeczki.

Nie chcąc się dać zapędzić zbyt daleko w koryto, jąłem

wypatrywać przystani i niebawem odkryłem po prawej stronie małą zatokę, w którą wprowadziłem z trudem swą tratwę, mając się różnych sztuczek. Podpłynąłem jak najbliżej spadzistego brzegu, ale nie chcąc po raz drugi narażać ładunku, osadziłem mój statek na kotwicy, wbijając z przodu i z tyłu żerdzie w piasek. Potem czekałem cierpliwie na odpływ, który też osadził na suchym gruncie tratwę i ładunek.

Trzeba było teraz zbadać okolicę, celem znalezienia bezpiecznego miejsca dla siebie i swych ruchomości. Nie wiedziałem, gdzie jestem, na wyspie czy łądzie stałym, nie wiedziałem też, czy mieszkają tu ludzie i czy mam się obawiać dzikich zwierząt. W odległości niespełna mili angielskiej leżało strome wzgórze, poza nim zaś szereg innych, w kierunku północnym. Uzbrojony w strzelbę, pistolet i zabrawszy róg z prochem, wszedłem nie bez trudności na szczyt. Stąd jednym spojrzeniem ogarnąłem swe położenie. Byłem na wyspie pośród pełnego morza! Kędyś w dali, spostrzegłem kilka skał, zaś w kierunku zachodnim, jak mi się wydało dwie jeszcze małe wyspy. I na tym koniec.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wyspa była bezludna, a także nie dostrzegłem zwierząt drapieżnych, tylko ogromne stada nieznanego mi zgoła ptactwa. Wracając zastrzeliłem wielkiego ptaka, siedzącego na drzewie u skraju lasu. Mój strzał był pewnie pierwszym, jaki od stworzenia świata padł na tej wyspie. Na jego odgłos podniosły się wokół z lasów istne chmary ptaków, wrzeszczących przeraźliwie. Zastrzelony przeze mnie

musiał to być, sądząc po szponach i zakrzywionym dziobie, jakiś jastrząb nieznanego mi gatunku, a mięso jego cuchnęło brzydko i nie było jadalne.

Wróciwszy do tratwy wziąłem się do przenoszenia ładunku na ląd, co mi zajęło czas do wieczora. Chcąc się zabezpieczyć na noc, zbudowałem z pak i bierwion tratwy rodzaj chaty, w której rychło zasnąłem. Nazajutrz pierwszą mą myślą była ponowna wyprawa na okręt. Rozwahałem długo, czy jechać tratwą, ale w końcu postanowiłem popłynąć jak wczoraj i zbudować nową tratwę pod nowy ładunek.

Tym razem szło mi dużo lepiej niż przedtem, bowiem doświadczenie uczyniło mnie mądrzejszym. Znalazłem w komorze cieśli kilka worków gwoździ i śrub, dłuto, dwa tuziny siekier i pewien nadzwyczaj cenny przyrząd, który zwie się kamieniem szlifierskim i służy do ostrzenia narzędzi. Prócz tych skarbów zabrałem jeszcze kilka żelaznych kilofów, siedem sztucerów na kule, trzecią strzelbę na ptaki, dwie beczki kul i trochę prochu. Wielki wór śrutu i rulon ołowiu musiałem skutkiem ich ciężaru zostawić.

Uzpełniłem ładunek odzieżą, jaką tylko mogłem znaleźć, zabrałem też mały żagiel, matę na ścianę i trochę pościeli, po czym ruszyłem z powrotem i dotarłem szczęśliwie i z wielką radością do lądu.

Niepokoili mnie przez cały czas pobytu na okręcie myśli, że może jakieś zwierzę opanowało i zniszczyło moje zapasy, ale znalazłem wszystko nietknięte. Na jednej skrzyni siedziało

istotnie jakieś stworzenie, podobne do dzikiego kota. Uciekło ono przede mną, ale niebawem przystanęło i spojrzało wymownie, jakby chciało zawrzeć znajomość. Zagroziłem mu strzelbą, ale to nie podziałało wcale. Rzuciłem mu kawałek suchara, mimo że nie należało być rozrzutnym. Kot ten podszedł, obwąchał chleb, potem zjadł go ze smakiem i spojrzał znowu, jakby chciał więcej. Wzruszyłem z żalem ramionami, a kot odszedł zadowolony wielce z przyjęcia.

Sprowadziwszy na ląd drugi ładunek, zbudowałem z żerdzi i żagla niewielki namiot i umieściłem tam przedmioty, które mógł uszkodzić deszcz lub słońce, wokoło zaś ustawiłem puste paki i beczki, tworząc wał ochronny przeciw wrogim ludziom czy też zwierzętom.

Wejście zatarasowałem od wnętrza deskami, od zewnątrz wysoką paką, potem rozłożywszy na ziemi pościel i umieściwszy w głowach pistolety, a nabitą strzelbę tuż pod ręką, ległem spać, sen zaś przyszedł zaraz, gdyż znużyła mnie ciężka praca.

Posiadłem największy chyba magazyn, jaki kiedykolwiek człowiek założył dla siebie samego, a jednak nie byłem zadowolony. Jak długo okręt stał prosto, czułem chęć wyratowania zeń wszystkiego, co się tylko da i ruszyłem podczas najniższego stanu wody znowu na pokład. Za trzecią wyprawą pozyskałem znaczną ilość lin oraz sznurów i nici, nie zapominając też o kawale płótna służącego do naprawy żagli oraz o beczce z mokrym prochem.

Za szóstym razem miałem już w posiadaniu wszystko co

mi mogło być użyteczne i umyśliłem teraz podjąć rozbiórkę cięższych części statku. Zbudowałem z rei i resztek masztów ogromną tratwę i złożyłem na niej ciężkie liny kotwiczne, przepiłowane naprzód na części, oraz żelaziwo, jakie tylko mogłem powyrywać. Ale w drodze powrotnej opuściło mnie dotychczasowe szczęście. Tratwa była wielka i nie mogłem nią kierować należycie z powodu obciążenia, toteż wywróciła się w ujściu rzeczki, ja zaś wraz z ładunkiem wpadłem w wodę. Straciłem niemal wszystko, gdyż tylko liny zdołałem wydobyć potem podczas odpływu.

Byłem od trzynastu dni na wyspie, a jedenaście wypraw urządziłem na okręt, z którego zabrałem tyle, ile tylko zdołały zabrać dwie ludzkie ręce. Pewny jestem, że przewiozłbym na ląd częściami cały statek, gdyby tylko dopisała pogoda.

Za dwunastym jednak razem jął dąć wiatr. Wziąłem właśnie z szafy w kajucie dwie brzytwy, nożyczki, kilka noży, widelców oraz woreczek brazylijskich i europejskich złotych i srebrnych monet, gdy niebo pociemniało i zerwał się tak silny wicher od lądu, że nie tracąc czasu na budowanie tratwy ruszyłem z powrotem w pław. Ledwo zdążyłem w istocie dotrzeć do lądu, wicher dął coraz mocniej i jeszcze przed końcem przyptywu zahuczała burza co się zowie.

Trwała ona przez całą noc, a gdym rankiem spojrzał w stronę okrętu nie ujrzałem go już. Szczątki wychylały się odtąd ponad wodę tylko w pełni odpływu, tak że powinszowałem sobie gorliwości, z jaką wyzyskałem czas, ratując od zatury wszystko,

co miało wartość.

Rozdział trzeci

– Robinson buduje obronne osiedle. – Dzikie kozy. – Robinson urządza kalendarz. – Rozszerzenie mieszkania. – Stolarka. – Robinson zaczyna pisać pamiętnik. – Myśli jego podczas Świąt Bożego Narodzenia. – Lamy. – Owies i ryż. – Burza i trzęsienie ziemi.

Umyśliłem sobie teraz zbudować porządne osiedle. Namiot mój stał dotychczas na grząskim torfowisku, tuż nad brzegiem, przeto na miejscu niezdrowym, a w dodatku zbyt odległym od słodkiej wody.

Rozejrzawszy się dobrze, obrałem małe płaskowzgórze, w pobliżu potoku u stóp pagórka, wznoszącego się pionowo. W skalnej jego ścianie było małe zagłębienie, niby wejście do jaskini, ale zbyt płytkie, by je zwać grotą.

Płaszczyzna ta, porośła trawą, miała około stu metrów szerokości, była dwa razy tak długa, a leżała po północno-zachodniej stronie pagórka, tak że nie dochodziły tu niemal całkiem gorące promienie słońca. Postanowiłem zbudować sobie mieszkanie tu właśnie, wprost zagłębienia skały.

Zakreśliłem przed ścianą półkole o promieniu pionowym do skały, długości dziesięciu metrów, a średnicy dwudziestu mniej więcej.

Na obwodzie tego półkola wbiłem w ziemię podwójny szereg grubych pali, około półszósta stóp wysokich, a końce ich

zaostrzyłem potem. Stały one w odległości sześciu cali od siebie. Potem wplotłem pomiędzy pale pocięte kawałki lin kotwicznych, wypełniając szczelnie odstęp, zaś od wnętrza wzmocniłem palisadę skośnymi podporami, sięgającymi do połowy jej wysokości i w ten sposób stworzyłem mur, którego żaden człowiek ni zwierzę nie zdołało przebić ani przekroczyć. Była to praca nie tylko ciężka, ale także skomplikowana, zwłaszcza o ile szło o ścinanie drzew w lesie, utwierdzanie pali i zaciosywanie ich na końcach. Nie zostawiłem otworu na wejście, ale używałem krótkiej drabinki, którą zabierałem zawsze ze sobą. To mi dawało bezpieczeństwo przed napadem, potem jednakże wyszło na jaw, że ta ostrożność była zbyteczna.

Niestłuchane miałem trudności z przenoszeniem mych zapasów do fortecy, pośrodku której ustawiłem namiot o dachu z podwójnego płótna, który okryłem jeszcze sersenigiem, czyli smołowanym płótnem, jakim się zatyka szpary w okręcie. Tu zawiesiłem również matę ścienną, która była ongiś, jak zapamiętałem, własnością sternika.

Po ukończeniu tej budowli zewnętrznej zacząłem pogłębiać wklęsłość w skale. Kamienie i ziemię, stamtąd dobyte, wnosiłem pod palisadę i usypałem tam wał na półtorej stopy wysoki. Rozszerzyłem w ten sposób mieszkanie swoje w głąb góry, tworząc piwnicę, która mi oddawała doskonałe usługi.

Na pracy tej zeszło dużo czasu. Wspomnę tutaj o pewnym zdarzeniu, jakie zaszło w porze roztrząsania planów budowy mego osiedla.

Pewnego parnego dnia burza z piorunami i grzmotami nawiedziła wyspę. Zaraz za pierwszą błyskawicą uczułem śmiertelny strach. Nie przeraziłem się oczywiście burzy, ale zadrzałem na myśl o mym prochu. Cóż by to było dla mnie za nieszczęście, gdyby piorun padł w beczkę i zapalił go! Wszakże proch ten był mi jedyną gwarancją obrony, a także warunkiem zdobycia pożywienia.

Pod tym wstrząsającym wrażeniem zaniechałem na razie budowy i zacząłem co prędzej sporządzać worki i skrzynie w celu podzielenia prochu na części, tak bym w razie eksplozji nie utracił wszystkiego naraz. Pracowałem nad tym całe dwa tygodnie i dokazałem, że dwieście czterdzieści funtów, jakie posiadałem, utworzyły blisko sto porcji. Beczkę z prochem mokrym, jako niegroźnym, umieściłem w grocie, którą nazwałem swą kuchnią, poszczególne porcje prochu rozmieściłem po różnych szczelinach i dziurach skalnych, nie zanedbując porobić znaków, by je w razie potrzeby odnaleźć.

Przez cały ten czas wędrowałem codziennie ze strzelbą po okolicy w celu zbadania jej i polowania na zwierzynę. Zaraz za pierwszą wycieczką napotkałem dzikie kozy, były one jednak tak płochliwe i tak szybko uciekały, że nie doszedłem do strzału. Potem jednak nauczyłem się je podchodzić. Zauważyłem, że zmykają co prędzej, gdy pasą się choćby daleko na górze, ja zaś nadchodzę od dołu, przeciwnie, gdy nadchodzi od strony góry, one zaś były w dolinie, mogłem podejść znacznie bliżej. Wywnioskowałem stąd, że oczy ich są zbudowane w sposób,

pozwalający im patrzeć raczej na dół, niż w górę.

Za pierwszym strzałem ubiłem kozę, mającą obok siebie kozłatko. Wzruszyło mnie, że nie chciało ono opuścić matki. Gdym wziął zwierzynę na plecy i ruszyłem ku domowi, poszło za mną. Przeniosłem je przez palisadę, ale było zbyt małe i nie odessane jeszcze, tak że będąc przyzwyczajone do mleka matki nie chciało nic jeść. To mnie zmusiło ostatecznie do zarżnięcia go i spożycia. Mięso tych dwu sztuk starczyło na czas długi, tak że mogłem zaoszczędzić sporo żywności, a zwłaszcza chleba.

Skończyłem nareszcie budowę osiedla i przyszła kolej na założenie ogniska. Zanim jednak opowiem, jak tego dokonałem, wspomnę pokrótce o sobie samym.

Ile razy przyszło mi na myśl położenie moje, ogarniał mnie wielki smutek. Powiedziałem już, że burza odepchnęła okręt daleko poza zwykłą linię kursu statków, toteż z pełną słusnością mogłem przypuszczać, że niebo skazało mnie na samotną śmierć na tej wyspie. Rozważając to, płakałem i bliski nieraz byłem rozpacz.

Czasem jednak smutny ten nastrój rozpraszał rozsądek. Stało się też tak pewnego dnia, kiedy wędrowałem ze strzelbą po morskim wybrzeżu, pogrążony w melancholii.

– Prawda – powiedziałem sobie – że los twój nie jest wesoły, ale gdzież są towarzysze twoi? Wszakże do łodzi wsiadło jedenastu? Gdzież się podziało dziesięciu z nich? Zginęli, ty zaś ocalałeś... czemu nie nastąpiło coś wprost przeciwnego? Żyjesz oto na pewnym lądzie, cały i zdrowy, oni zaś leżą na ciemnym

dnie morza. Gdzież lepiej, tam, czy tu?

Dotknąłem dnia 30 września po raz pierwszy stopą tej samotnej wyspy, która, wedle mych obliczeń, leżała mniej więcej na dziewiątym stopniu północnej szerokości.

Po dziesięciu czy dwunastu dniach pobytu przyszło mi na myśl, że stracę zupełnie rachubę czasu, a nawet nie będę mógł święcić niedzieli, jeśli nie urządzę czegoś w rodzaju kalendarza. Sporządziłem tedy z dwu desek wielki krzyż i wyciąłem na nim napis: Dnia 30-go września wylądował tu Robinson Crusoe.

Krzyż ten ustawiłem na wybrzeżu i każdego dnia znaczyłem na nim karb. Każdy karb siódmy był dwa razy dłuższy, a pierwszy dzień miesiąca stanowiła kreska jeszcze dwa razy tak długa jak kreski niedzielne. W ten sposób obliczałem dni, miesiące i lata.

Pośród rzeczy zabranych z okrętu były różne przedmioty, na które nie zwracałem na razie uwagi, mianowicie: pióra, atrament, papier, kilka kompasów, przyrządów matematycznych, map oraz książek i Biblii.

Nie należy pominąć szczegółu, żeśmy mieli na pokładzie psa i dwa koty. O tych zwierzętach opowiem w dalszym ciągu niejedno. Koty przewiozłem tratwą, zaś pies skoczył z pokładu i przypląnął za mną podczas drugiej wyprawy mojej. Był mi przez całe lata wiernym towarzyszem, a nawet ukochanym przyjacielem.

Przybory pisarskie oddały mi wielkie usługi i jałem zaraz spisywać szczegółowo pamiętnik. Przerwałem go, gdy zbrakło atramentu, którego mimo rozlicznych wysiłków niczym zastąpić

nie mogłem.

Zapasy moje mieściły różne użyteczne przedmioty, ale mimo to brakowało mi niejednego, mianowicie prócz atramentu także łopat i motyk, dalej zaś igieł i cienkich nici. Nie sposób też było wejść w posiadanie płóciennej bielizny, do którego to niedostatku przywyknąć z wolna musiałem.

W tych warunkach praca postępowała niesporo i minął rok, zanim ukończyłem budowę swego osiedla. Wybierałem umyślnie pale tak ciężkie, że je ledwo mogłem wlec, to też czasem całe dwa dni zeszyły mi na ścinaniu drzewa i dostawianiu go na miejsce, a trzeci dzień pracy kosztowało wbicie go w ziemię i spojenie z innymi. Wbijałem pale zrazu ciężką pałą drewnianą, potem dopiero zacząłem używać żelaznego kilofa. Nie troszczyłem się jednak powolnością tą, gdyż niestety miałem czasu pod dostatkiem! Cóż mi zostawało do roboty po skończeniu prócz wałęsania się po wyspie i dbania po trochu o pożywienie?

Czas płynął, ja zaś zacząłem spokojnie patrzeć na swe położenie i nie wypatrywałem już teraz tak często i tak długo oczu na morze, w nadziei ujrzenia okrętu, śpieszącego mi na ratunek. Pogodziłem się z wolna z losem i jałem urządzać sobie życie możliwie wygodnie i przyjemnie.

Opisałem już dom swój. Był to namiot na stoku wzgórza, otoczony silną palisadą pni, utkanych linami kotwicznymi. Mógłbym to zagrodzenie nazwać wałem, gdyż przyparłem do niego ze strony zewnętrznej silny mur z darniny wysoki na dwie

stopy. Po półtora roku ułożyłem długie pnie od tego wału aż do skalnej ściany i pokryłem je gałęzmi i liśćmi palmowymi dla ochrony przed deszczem bardzo obfitym w pewnych porach roku.

Zapasy zgromadzone w obrębie mieszkania zacieśniły je do tego stopnia, że ledwie mogłem się ruszyć. To mnie skłoniło do rozszerzenia grotu, która to praca nie sprawiła mi wiele trudu z powodu kruchości kamienia. Wydrążyłem zrazu chodnik w stronę prawą, a gdy był dość długi, zwróciłem go raz jeszcze w prawo, tak że wylot jego otrzymał ujście na zewnątrz. W ten sposób mieszkanie moje stało się dostępne bez konieczności użycia drabiny.

Po ostatecznym zakończeniu prac budowlanych wzięłem się do stolarki, celem uzyskania sprzętów domowych pierwszej potrzeby, a więc stołu i krzesła, bez których mowy być nie mogło o jakiegokolwiek wygodzie. Nie sposób było pisać ni jeść porządnie, słowem sto razy w ciągu dnia brakowało mi tych przedmiotów.

Nadmieniam tu mimochodem, że każdy człowiek normalnym obdarzony rozumem może z czasem sam przez się osiąść każde rzemiosło. W ciągu całego życia nie miałem dotąd w rękę narzędzia, a mimo to mogę zaręczyć, że byłbym potem w stanie, przy odpowiednim zapasie koniecznych przyrządów, wytworzyć sobie wszystkie przedmioty użyteczności domowej. Osiągnąłem z biegiem czasu taką zręczność, że mając tylko siekiere i ostre szerokie dłuto stolarskie sporządzałem najróżniejsze rzeczy.

Gdym potrzebował deski, musiałem ściąć drzewo i obciosywać pień po obu stronach tak długo, aż powstała deska danej grubości. Wyrównywałem ją potem dłutem. Oczywiście przy tej metodzie jeden pień dawał jedną tylko deskę, ale nie było na to rady. Przy tym praca wymagała wielkiej cierpliwości i czasu. Czasu miałem aż nadto, zaś cierpliwości nabyłem z musu.

Stół i krzesło sporządziłem jednak z krótkich desek, zabranych z okrętu. W opisany powyżej sposób wyciosałem potem pewną ilość długich desek, które poprzybijałem jedne nad drugimi na ścianach groty jak półki, na których umieściłem w porządku wszystkie drobiazgi, przyrządy, gwoździe, śruby, słowem to, co chciałem mieć pod ręką. Na kołkach, wbitych w ściany, pozawieszałem strzelby i to co się do wieszania nadawało, tak że grotą przybrała wygląd wielkiego magazynu, mnie zaś radowała ilość posiadanych, użytecznych rzeczy i ład, jaki tu teraz zapanował.

Zacząłem spisywać pamiętnik. Od pamiętnego dnia 30 września 1659 roku zanotowałem sumiennie wszystko, com przeżył, myślał i czuł. Chcąc podać treść tych zapisków, musiałbym powtórzyć rzeczy już opowiedziane, przeto poprzestanę na tych tylko szczegółach, które mogą zaciekawić czytelników moich jako uzupełnienie i objaśnienie ich.

Dnia 17 października zacząłem drążyć jaskinię poza namiotem.

Do roboty tej brakło mi przede wszystkim żelaznego łamacza kamieni, łopaty i taczek lub kosza, jałem tedy dumać, czym

je zastąpić. Łamacz zastąpił jako tako kilof, ale brak łopaty utrudniał znacznie i opóźniał robotę.

Dnia 18 października natrafiłem w lesie na drzewo bardzo twarde, zwane w Brazylii drzewem żelaznym. Odrąbałem mu z trudem gruby konar, przy czym siekierę stepiłem do tego stopnia, że była bezużyteczna. Konar ten, strasznie ciężki, zawlokłem do domu i zacząłem zeń wyciosowywać coś, co przypominało niewątpliwie łopatę i pełnić mogło jej funkcje.

Brak mi było taczek lub kosza. Kosz mógłbym być jako tako upleść, ale nie napotkałem dotąd przydatnych gałęzi. Od sporządzenia taczek odstraszała mnie konieczność koła i osi, a nie czułem się na siłach stworzenia takiego arcydzieła. W końcu wpadło mi do głowy, by wydrążyć z pnia rodzaj niecek, jakich używają mularze do noszenia wapna i cegieł. Przedmiot ten nie sprawił mi tyle trudu, co łopata, ale mimo to zużyłem na te dwie rzeczy całe cztery dni.

Dnia 24 grudnia. W ojczyźnie obchodzą dziś wszyscy Boże Narodzenie. Czyż żyją jeszcze ojciec mój i matka? Czyż wspominają jeszcze czasem o swym niewdzięcznym i nierozsądnym synu? Sądzą pewnie od całych lat, że nie żyję! I w samej rzeczy zmarłem, dla całego świata jestem tak jakby umarłym człowiekiem! Biedny, biedny Robinsonie! Ale nie traćmy otuchy... Bóg nad nami, a Robinson Crusoe żyje jeszcze!

Dnia 25 grudnia odkryłem na mej wyspie lamy. Zastrzeliłem jedną młodą sztukę, a zraniłem drugą, tak że zdołałem doprowadzić ją do domu, gdzie wsadziłem w drewniane łupki

przestrzeloną jej nogę.

Pielegnowałem chore zwierzę, noga zaś zrosła się szybko i wzmocniła. Lama przywykła do mnie, oswoiła, pasła się opodal grotty trawą i ziołami i wcale nie okazywała skłonności do ucieczki. Ta okoliczność naprowadziła mnie na myśl stworzenia trzody zwierząt swojskich, tak by mi nie zbrakło żywności kiedyś, gdy spotrzebuję cały zapas prochu.

Dnia 1 stycznia było niezmiernie gorąco. Parność i upał sprawiły, że wyszedłem na łowy o samym świcie, drugi zaś raz późnym wieczorem. Napotkałem w dolinach w głębi wyspy mnóstwo kóz, nadających się doskonale na swojską trzodę.

Dnia 2 stycznia ruszyłem z psem na polowanie i poszczułem go na kozy. Ale skutek był wprost przeciwny. Kozy uderzyły razem na psa rogami, tak że ledwo ująć zdołał cało.

W tym czasie padał często gwałtowny deszcz, musiałem więc zaniechać łowów. W takie pochmurne dni ciemno bywało w moim mieszkaniu i odczuwałem dotkliwie brak lampy. Chciałem co prawda nieraz narobić sobie świec, ale nie miałem wosku. Sporządziłem tedy z gliny naczynko, wysuszyłem je na słońcu i zaopatrzwszy w knot z kłaków napełniłem tłuszczem kozim. W ten sposób oświetliłem od biedy mieszkanie, ale lampa moja pozostawała jeszcze dużo do życzenia.

Gmerając w posiadanych skarbach, natrafiłem na worek ze zbożem. Szczury pożarły jednak ziarno, przeto, nie widząc nic więcej ponad otręby i łuski, wysypałem wszystko pod skałę, by użyć worka na co innego. Stało się to przed nastaniem ulewnych

deszczów. Po czterech tygodniach ujrzałem na tymże miejscu kilka wyniosłych kłosów, w których rozpoznałem z radością europejski owies. Opodal zobaczyłem też parę kłosów ryżu. Cień skały osłonił przed żarem słońca kilka zdolnych jeszcze do kiełkowania ziaren, jakie były w śmieciach i weszły one doskonale w wilgoci wywołanej deszczem.

Pilnowałem starannie tych kilku kłosów, gdy zaś dojrzały w czerwcu, zebrałem troskliwie ziarno po ziarnie, ciesząc się nadzieją, że z czasem uzyskam ilość zboża potrzebną na wypiek chleba. Zanim do tego doszło, minęły cztery lata. Przy tym pierwszy siew nie powiódł się, gdyż dokonałem go tuż przed nastaniem upałów. O tym jednak opowiem później.

Dnia 16 kwietnia, ukończywszy właśnie wał ochronny mej fortecy, doznałem czegoś, co niemal zniweczyło wszystkie me dotychczasowe wysiłki, a nawet co groziło memu życiu.

Zajęty byłem właśnie czymś poza namiotem, u wejścia do grotty, gdy nagle zaczęły spadać masy ziemi i kamieni z całej góry i ścian oraz stropu jaskini mojej. Skoczyłem do drabiny i przelazłem śpiesznie przez palisadę, by nie zostać pogrzebany pod głazami. Ledwo dotknąłem stopą ziemi, poznałem, że wyspę nawiedziło straszliwe trzęsienie ziemi. Falowała pod moimi nogami niby morze, a odległa o pół mili angielskiej góra rozpadła się u samego wierzchołka na dwoje i runęła w dół z łoskotem, jakiego nie słyszałem w życiu całym. Morze szalało i sądzę, że trzęsienie jego dna być musiało jeszcze nierównie gwałtowniejsze niż lądu.

Stałem przez chwilę skamieniały ze strachu i pewny, że namiot mój oraz wszystko, co posiadałem, zostanie zasypane beznadziejnie. Wstrząśnienie powtórzyło się trzy razy, a było tak straszliwe, że musiałyby zniweczyć każdy budynek ludzką ręką wzniesiony. Falowanie ziemi wywołało u mnie chorobę morską. Doprowadzony do rozpacz i bezradny zupełnie wołałem tylko raz po raz:

– O Boże i Panie mój, miej litość nade mną!

Ściemniło się bardzo, czarne chmury sunęły po niebie z przerażającą szybkością i za chwilę zahuczała burza, a morze pokryła biała piana. Huragan runął na wyspę z siłą niewysłowioną i ogłuszającym łoskotem, wrywając mnóstwo drzew z korzeniami i łamiąc jak słomki grube pnie. Wobec tego rozpętania żywiołów każde ludzkie słabe stworzenie musiałyby zwątpić o swoim życiu. Trwało to przez trzy godziny, po czym burza zaczęła przycichać, a po dalszych dwu godzinach wróciło wszystko do spokoju i lunął nawalny deszcz.

Przez cały ten czas leżałem na ziemi skulony, trzymając się oburącz drzewa, by mnie wichur nie porwał ze sobą. Teraz wstałem i zobaczywszy, że góra stoi cało, ośmieliłem się zajrzeć do mego mieszkania. Zaraz też postanowiłem zbudować sobie drugie mieszkanie, pod gołym niebem, gdyż przebywając ciągle w tej pieczarze mogłem podczas następnego trzęsienia ziemi niespodzianie stracić życie.

Umyśliłem zbudować podobny wał i ustawić w nim namiot, zanim jednak dojść mogło do urzeczywistnienia, musiałem,

chcę nie chcę, pozostać w starym osiedlu.

Rozdział czwarty

– Ponowna wyprawa na rozbity statek. – Robinson napotyka żółwia. – Choruje i rozmyśla nad sobą poważnie. – „Wzywaj mnie w potrzebie!” – Oздrowienie. – „Wielbij imię moje!” – Robinson czyni odkrycia. – Buduje drugie osiedle. – Zostaje koszykarzem. – Oswaja papugę i koźle. – Pierwsze żniwa.

Znajduję w mych zapiskach pod datą 22 kwietnia co następuje: Nazajutrz wziętem się na serio do rozważania tego nowego planu i pierwszą zaraz trudność dostrzegłem w złym stanie moich narzędzi. Posiadałem trzy wielkie topory i kilka tuzinów siekier, które wzięliśmy ze sobą jako artykuł w handlu zamiennym z dzikimi, ale wszystko to stępiło się i poszczerbiło przy obróbce twardego, sękatego drzewa. Miałem wprawdzie kamień szlifierski, ale brakło mi koniecznego mechanizmu do obracania. Sporządzenie tej maszyny sprawiło mi trud niesłychany, ale po wielkich wysiłkach stworzyłem przyrząd obracany pedałem nożnym przy pomocy rzemienia, tak że obie ręce miałem wolne. Pracowałem nad tym przez cały tydzień.

W ciągu 28 i 29 kwietnia ostrzyłem od rana do wieczora narzędzia, a maszyna moja okazała się doskonała.

Dnia 1 maja ujrzałem wczesnym rankiem na wybrzeżu beczkę i trochę szczątków okrętu, przypędzonych tu ostatnią burzą. Rozbity statek zmienił położenie i sterczał wyżej nad wodą.

Dziób nie tkwił już w piasku, a tył oddzielony od kadłuba leżał na boku wśród piaszczystego, a tak wysokiego wału, że podczas odpływu mogłem doń dotrzeć suchą nogą. Zmianę tę wywołało, zdaje się, trzęsienie ziemi, które dokończyło zniszczenia, a fale niosły teraz poszczególne resztki na ląd. W beczce był proch zamoczony, a potem wyschły na słońcu niby kamień. Mimo to zabrałem go jednak i zabezpieczyłem.

Odkładając na potem budowę drugiego osiedla, jałem się pracy koło szczątek okrętu, z których najmniejszy mógł mi się bardzo przydać.

Przez dni następne byłem tym zajęty. Poodrywawszy deski pokładu, znalazłem we wnętrzu pełnym piasku różne beczki, których jednak ruszyć nie mogłem. Musiałem też zostawić gruby zwój ołowiu jako zbyt ciężki. Przeniosłem natomiast około trzech cetnarów żelaza.

Dnia 24 maja poluzowałem na koniec w piasku beczki do tego stopnia, że fala podczas przyptywu zniosła wiele z nich na ląd. Była w nich solona wieprzowina, zepsuta jednak przez wodę morską. Ze zwoju ołowiu odrąbałem kawałkami około cetnara i zabrałem do domu.

Chodząc po wybrzeżu 16 czerwca napotkałem wielkiego żółwia, pierwszego na tej wyspie. Ubiłem go, a mięso to wydało mi się potrawą najbardziej soczystą i najsmaczniejszą, jaką spożywałem w życiu. Była to nader pożądana odmiana, gdyż dotąd jadałem tylko drób i kozinę.

Pod datą 27 czerwca znajduję w pamiętniku taki zapis: Od

tygodnia dręczyła mnie taka febra, że z trudnością tylko mogłem dokonywać koniecznych prac codziennych. Teraz pogorszyło mi się do tego stopnia, iż leżałem, niezdolny wstać po łyk wody. Godzinami byłem oszołomiony, przychodząc zaś do siebie usiłowałem zanieść modły do Boga, ale wargi moje szeptały tylko z trudem: – Boże, wspomóż mnie i nie opuszczaj! – Paliła mnie gorączka, to znów na przemian wstrząsał mną dreszcz lodowaty, na koniec zapadłem w niespokojny sen, trwający dużo godzin. Zbudziłem się w nocy. Było mi lepiej, ale czułem wielkie osłabienie i paliło mnie straszne pragnienie. Nie mając jednak w mieszkaniu wody, musiałem wytrwać do rana.

Dnia 28 czerwca zawlokłem się z trudem do strumienia i napełniwszy flaszkę, umieściłem wodę w pobliżu legowiska. Potem upiekłem na węglach kawałek koziny, ale zjadłem parę tylko kąsków. Próbowałem chodzić, lecz nogi chwiały się pod mną, zaś w sercu czułem wielki smutek z powodu opuszczenia, w jakie popadłem. Wieczorem upiekłem trzy jaja spośród tych, jakie znalazłem w ciele żółwia, spożyłem je z lubością, następnie zaś, mimo osłabienia, usiadłem ze strzelbą na wybrzeżu i zapatrzyłem się w spokojne i ciche morze.

Gdym tak siedział napłynęły mi różne myśli.

– Czymże jest ziemia, której już taki szmat zwiedziłem i czymże morze, po którym podróżowałem tak długo? Jakże powstały? Czymże jestem ja sam i te wszystkie otaczające mnie dzikie i swojskie twory? Nie ulega wątpliwości, że wszechpotężna siła stworzyła wszystko, żywe istoty, ziemię,

morze, powietrze i widnokrąg ze słońcem, księżycem i gwiazdami. Cóż to za siła niezmierna? Oczywiście, to Bóg! Jeśli jednakże Bóg stworzył te wszystkie rzeczy, to niezawodnie kieruje nimi i rządzi, a zatem bez Boga i jego zgody oraz woli nic się w całym świecie stać nie może.

Bóg, rządca świata, wie także, że ja znajduję się na tej oto wyspie w stanie wielkiej niedoli, a z woli też jego spotkało mnie to nieszczęście.

Czemuż dotknął mnie Bóg w ten sposób? Czymże zawiniłem?

Wobec tego pytania poczułem wyrzut sumienia i głos jakiś potężny zawołał we mnie:

– Nędzniku! Pytasz czym zawiniłeś? Spójrz wstecz na swe zmarnowane życie i spytaj raczej czym nie zawiniłeś! Spytaj, czemu Bóg w słusznym gniewie nie ukarał cię już dotąd śmiercią, czemu nie zginąłeś w przystani Yarmouth lub pod tą wyspą nie zatonąłeś w falach jak twoi nieszczęśliwi towarzysze! Jak śmiesz pytać o swoje winy?

Wziąłem do rąk jedną z Biblii wyratowanych z okrętu i zacząłem czytać. Ale umysł mój tak był wyczerpany chorobą, że przez czas długi zrozumieć nie mogłem słów Pisma świętego. W końcu oczy me spoczęły na zdaniu: – Wzywaj mnie w potrzebie, ja cię ocale, ty zaś wielbij imię moje!

Uczyniło to na mnie niesłychanie silne wrażenie. Po raz pierwszy w życiu ukląknęłam i roniąc gorące łzy zacząłam błagać Boga, by spełnił obietnicę i ocalił mnie, bowiem wzywałam go z taką wiarą w złej chwili.

Potem wyczerpany całkiem dowlokłem się do postania i zaraz zasnąłem twardo.

Pewny do dziś jestem, że sen ten trwać musiał co najmniej dwie noce i cały dzień. Inaczej trudno by wytłumaczyć, czemu kalendarz mój wskazywał jeden dzień mniej, kiedy po latach obliczał czas mego pobytu na wyspie.

Koniec końcem zbudziwszy się uczułem, że jestem fizycznie orzeźwiony i przepelniony świeżymi siłami. Febra nie wróciła już, a żołądek domagał się gwałtownie pożywienia.

Dnia 3 lipca zanotowałem te słowa: Bóg mnie wysłuchał i przywrócił mi zdrowie, toteż wielbiłem go na każdym kroku. Zła jest choroba w domu, przy czułej opiece rodziny, ale stokroć okropniej jest zapaść w niemoc wśród dziczy i samotności, z dala od wszelkiej pomocy. Bóg mnie jednak ocalił i odtąd już nie znikły mi z pamięci słowa: – Wzywaj mnie w potrzebie, ja cię ocale, ty zaś wielbij imię moje! – Czy Bóg wyzwolić mnie też raczy z tego wygnania? Zacząłem nad tym dumać i już uczułem upadek nadziei, ale wspomniawszy przebytą chorobę, powiedziałem sobie: – Czyż nie wyratował cię Bóg cudownie z śmiertelnej febry i stanu straszliwej niemocy? Czyż nie dotrzymał obietnicy? A ty, czyż spełniłeś to, czego chce, mówiąc: Wielbij imię moje? – Zawstydzilem się wielce i ukląkszy jałem głośno słać imię Boże, błagając o jego łaskę.

Od 4 do 14 lipca chodziłem codziennie ze strzelbą po okolicy, by odzyskać sprawność ciała. Badając przyczynę zaśląbnienia, doszedłem do wniosku, że przebywanie na wolnym powietrzu

w porze deszczowej, która w tej strefie zastępuje zimę, jest szkodliwe dla zdrowia.

Od dziesięciu już miesięcy przebywałem na tej wyspie i mało było nadziei ocalenia, gdyż widocznie nikt tu jeszcze przede mną nie wylądował.

Dnia piętnastego lipca podjąłem dalszą wycieczkę. Idąc w górę biegu strumienia stwierdziłem, że przyptyw morza sięga najwyżej na dwie mile angielskie w głąb lądu. Odkryłem kilka uroczych dolin i bujnych łąk, na których rósł tytoń, aloesy i dzika trzcina cukrowa. Dalej w głębi znalazłem melony wijące się po ziemi, a w końcu, ku wielkiemu zdumieniu, także winorośl, zwieszoną po pniach drzew, pełną soczystych gron. Spożyłem z rozkoszą znaczną ich ilość, przyszło mi jednak zaraz na myśl, że owoce te wysuszone oddadzą mi, jako rodzynki, większą jeszcze przysługę, gdyż będę mógł zgromadzić znaczny ich zapas.

Odległość od domu była tak znaczna, że spędziłem noc na drzewie, gdzie spałem wyśmienicie. Następnego dnia ruszyłem dalej. Dążąc ciągle ku północy, dotarłem do przełęczy gór, poza którą teren opadał w kierunku zachodnim, zaś od wschodu płynął tuż przy mnie mały strumyk. Było tu cudnie, jak w najpiękniejszym ogrodzie i mimo uczucia pustki i opuszczenia przejęła mnie duma. Wszakże byłem nieograniczonym panem i królem tej wspaniałej wyspy!

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.